



Julie Miller

Detektyw i dziewczyna

Julie Miller
Detektyw i dziewczyna

Tłumaczyła
Melania Gruszczyńska

Tytuł oryginału: Beauty and the Badge

Pierwsze wydanie: Harlequin Books, 2009

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Joanna Rowińska

Korekta: Małgorzata Narewska, Joanna Rowińska

© 2009 by Julie Miller

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans & Sensacja są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8340-1

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Tak, mamó, postaram się przyjechać do domu na święta.

Oho, zbyt duża prędkość.

Niespodzianka.

Elizabeth Rogers przytrzymała komórkę między uchem a barkiem i obiema rękami mocno chwyciła kierownicę, żeby skręcić w zasypaną śniegiem uliczkę, która wiodła do jej domu. Średniej wielkości dżip wziął ostry zakręt i wpadł w poślizg na oblodzonej jezdni, lecz po chwili opony odzyskały przyczepność i auto skoczyło naprzód.

Całe szczęście, że nie doszło do wypadku. Beth odetchnęła z ulgą i zwolniła, powracając na swój pas ruchu. Patrząc przez panoramiczną szybę na zaśnieżone ulice, postanowiła sprawić sobie zestaw głośnomówiący, żeby móc się bezpiecznie poruszać po Kansas City w zimowej szacie.

W ciągu ostatnich czterech miesięcy co wieczór pokonywała tę samą drogę do domu. Odkąd skończyła piętnaście lat, jeździła autem po wiejskich szosach środkowego Missouri. Powinna była pamiętać, że w warunkach zimowych nie należy się śpieszyć.

Przyczyną jej nieuwagi był koszmarny dzień, jaki przeżyła w pracy. Przez całe to zamieszanie marzyła tylko, żeby wreszcie zdjąć buty i położyć się na swojej miękkiej sofie. Jej przełożony Charles Landon, zastępca szefa działu badań i rozwoju w GlennCo Pharmaceuticals, wysłał ją na lunch, po czym bez słowa wyjaśnienia znikł na resztę dnia, nie zostawiając nawet numeru telefonu, przez co musiała odbyć za niego jedno spotkanie, drugie zaś przełożyć na inny termin. Elizabeth nie miała nic przeciw większej samodzielności, chętnie awansowałaby ze stanowiska asystentki szefa, ale mając dwadzieścia pięć lat, wiedziała, że musi się jeszcze sporo nauczyć o świecie wielkiego biznesu, brakowało jej przydatnych kontaktów, rozeznania i doświadczenia.

Szef wrócił o 17.30, gdy ona właśnie zbierała się do wyjścia, i włączywszy swój ojcowski urok, ublażał ją, by została i popracowała do późna. W związku z tym tkwiła w biurze do 21.00, wpisując najnowsze dane potrzebne do prezentacji, zmieniając terminarz Charlesa – a co za tym idzie, swój własny – i wykonując kilka telefonów za granicę w celu zweryfikowania rocznych raportów finansowych. Szef przeprosił ją za swe nagłe zniknięcie i zapewnił, że miał do załatwienia osobistą sprawę, czym ona nie musi się przejmować, jednak i tak wyczuła jego zdenerwowanie.

Wydawał się rozkojarzony, nieobecny duchem. Kiedy nie odpowiedział na jej wołanie, że właśnie

wychodzi, weszła do jego gabinetu i znalazła go pod biurkiem, gdzie szukał upuszczonego długopisu. Ofuknął ją, gdy zaproponowała mu pomoc, po czym przyglądził siwe włosy i uprzejmie przeprosił, wyciągnąwszy przedtem długopis z kieszonki granatowego garnituru w prążki.

– Dziwne – mruknęła pod nosem Beth. – Naprawdę dziwny wieczór. – Wyłuskała komórkę spod zwojów wełnianego szala i przytknęła z powrotem do ucha. – Mamo, jesteś tam?

– Czemu nie poczekałaś z dzwonieniem, aż dojedziesz bezpiecznie do domu? – spytała Ellen Rogers, która знаła swoją dwudziestopięcioletnią córkę jak zły szeląg. – Wiesz, jak pilnie ojciec śledzi prognozy pogody. W Kansas City przeszła taka sama zamieć, jak u nas przed dwoma tygodniami, a to jeszcze nie koniec intensywnych opadów śniegu. Nie powinnaś dzwonić podczas jazdy samochodem.

– Wcześniej nie miałam czasu – usprawiedliwiła się Beth. – Jesteś już pewnie w piżamie, prawda? Nie chciałam cię budzić telefonem w środku nocy, bo mogłabyś się przerazić, że coś mi się stało.

Dżip podskakiwał w koleinach śniegu, który spadł, stopniał i spadł znowu w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Tym razem Beth skrzyła ostrożniej. Była singielką z własnym domem, co miało wiele zalet – mogła urządzić wnętrza po swojemu, wychodzić i wracać, kiedy jej się żywnie podobało. Wiązały się z tym jednak pewne niedogodności, na przykład konieczność odśnieżania podjazdu

i chodnika nawet o północy. Ze względu na porę i zmęczenie postanowiła tym razem posypać je solą, żeby ułatwić życie listonoszowi.

Nie chciała się skarżyć w obawie, że rodzice znów zakwestionują jej decyzję przeprowadzki do dużego miasta po tym, jak rozstała się ze swoim chłopakiem.

– Mój szef wymaga ode mnie pracy w nadgodzinach – powiedziała, usprawiedliwiając się. – Nie chciałam wysyłać mejla, by was zawiadomić, że będę mogła przyjechać dosłownie na kilka dni. Wiem, że Jesse przyjechał z college’u, a Frank z żoną i dziećmi przyjadą niebawem.

Matka potwierdziła, że obaj bracia zamierzają spędzić zimowy urlop na farmie.

– Nie musisz przeproszać, wiem, jak trudno ci wziąć urlop. Chyba firma będzie kilka dni zamknięta? W końcu kto sprzedaje leki w święta Bożego Narodzenia?

– Mamo – odparła ze śmiechem Beth – właśnie po to kończyłam college, żeby nie pracować w handlu, ale w zarządzaniu. Ludzie chorują 365 dni w roku, więc GlennCo produkuje leki bez przerwy, w różnych krajach. Firma zatrudnia wielu ludzi, to wymaga koordynacji. Od doktora Landona i ode mnie zależy, czy wszystko potoczy się gładko, a każdy pacjent szpitala czy klient apteki otrzyma lek, dzięki któremu wyzdrowieje...

– ...nawet w święta – dokończyła za nią mama. – Wiesz, że ojciec i ja jesteśmy z ciebie dumni. Będzie nam miło, jeśli spędzisz z nami chociaż

kilka dni. Może wiosną uda ci się przyjechać na tydzień, o ile firma udzieli ci urlopu.

- Niezły plan – odrzekła z uśmiechem Beth.
- Trzymaj się ciepło. Kochamy cię.
- Dzięki, mamó. Uściskaj ode mnie tatę.
- Dobrze, kochanie.

Gdy matka się rozłączyła, Beth odłożyła komórkę na siedzenie pasażera i skręciła w swoją uliczkę. Ponieważ zbliżała się północ, domy w cichej podmiejskiej dzielnicy były już zamknięte na głucho. Przy krawężniku parkowały przysypane śniegiem samochody, w oknach było ciemno.

Jedynym wyjątkiem był dom jej nowego sąsiada, który wprowadził się wczoraj. Przez szpary po bokach podartego koca, który zasłaniał przeszklone drzwi od strony frontowego ganku, przeświecał blask lampy. Sąsiad kończył zapewne rozpakowywanie kartonów z rzeczami. Chociaż wczoraj rano Beth widziała kilku silnych, przystojnych mężczyzn rozładowujących półciężarówkę z niewielką ilością mebli, nie miała jeszcze okazji się przedstawić. W istocie nie miała nawet pojęcia, który przystojniak został jej sąsiadem.

Uśmiechnęła się pod nosem, przejeżdżając obok niebiesko-białego bungalowu. Przypuszczała, że nowy sąsiad jest samotnym mężczyzną, kawalerem lub rozwodnikiem, o czym świadczyło skromne umeblowanie i podarty koc w roli zasłony.

Wjechała na swój podjazd i uśmiechnęła się szerzej. Ktoś go za nią odświeżył.

– Dzięki, Hank – wyszeptała.

Zerknęła w tylne lusterko na stary dom po przeciwnej stronie uliczki. Jej najnowszy przyjaciel, Hank Whitaker, był przemiłym starym wdowcem, który znajdował przyjemność w pomaganiu jej na różne sposoby. W sobotę rano przechwalał się przed nią, że zamierza zakupić odśnieżarkę z napędem elektrycznym w miejsce starego modelu benzynowego. Beth nie wątpiła, że Hank przez cały wieczór pracowicie odśnieżał chodniki na całej uliczce, żeby przetestować swój nowy nabytek. Będzie musiała upiec dla niego ciasteczka i osobiście mu podziękować.

Drzwi do garażu otwierały się automatycznie. Beth powoli wjechała do środka. Zamierzała pochwycić zakupy do lodówki i szafek, wziąć gorącą kąpiel i chwilę poczytać przed położeniem się na spoczynek.

Zgasila silnik i zamknęła drzwi do garażu, po czym przewiesiła przez ramię torebkę i skórzaną aktówkę na dokumenty. Otworzyła bagażnik dzipa i aż jęknęła na widok puszek z zupą, pomarańczy i kubków jogurtu, które wysypały się z płóciennych toreb, pewnie wtedy, gdy samochód wpadł w poślizg. Pozbierała produkty i owinęła sobie uszy toreb wokół lewego nadgarstka. Ruszyła ku schodom wiodącym do kuchni, gdy wtem na siedzeniu pasażera dostrzegła komórkę.

Potrzebna mi jeszcze jedna ręka, pomyślała, potrzebując głową.

Działając w tym tempie, będzie musiała zrezygnować z kąpieli. Jednak komórka wymagała naładowania...

Z trudem otworzyła drzwiczki i sięgnęła po telefon. Gdy je zamykała, przycięła skórzany pasek aktówki. Usiłowała go wydostać, walcząc jednocześnie z ciężkimi torbami zakupów, przez które niemal straciła równowagę. Mamrocząc pod nosem przekleństwa, które z pewnością nie spodobałyby się jej matce, wetknęła komórkę w usta, poprawiła torebkę i aktówkę na ramieniu, chwyciła torby z zakupami i ruchem biodra zamknęła samochód. Objuczona, przecisnęła się pod ścianą garażu do kuchennych drzwi.

Na szczęście nigdy ich nie zamykała. Samo naciśnięcie klamki było wystarczającym wyzwaniem. Szukanie klucza po kieszeniach... a cóż to znowu za hałas?

Drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając Beth w ramię i spychając ją ze schodów.

– Co jest, do...?

Ciemna zamaskowana postać runęła prosto na nią, błyskając białymi zębami. Wielkie łapska chwyciły ją za ramię i uniosły, odpychając na bok niczym podczas meczu futbolu amerykańskiego.

Zakupy rozsypały się dokoła. Przed oczami przeleciała jej maska chłodnicy. Zduszony krzyk protestu urwał się nagle, gdy upadła na betonową podłogę. Ciemna postać chwiała się nad nią niczym cień. Jakiś przedmiot uderzył ją mocno w bok głowy.

Ostry ból przeszył jej czaszkę, a potem zapanowała nieprzenikniona ciemność.

Gdy Elizabeth znów otworzyła oczy, nie wiedziała, czy upłynęło kilka sekund, czy też wiele minut. Zamrugła niepewnie i natychmiast uświadomiła sobie trzy sprawy.

W garażu była sama.

Guziki płaszcza, żakietu i bluzki zostały rozpięte. A głowa bolała ją jak wszyscy diabli.

Na szczęście nie na tyle, by pozbawić ją zdolności myślenia. Zadzwoń na 911, wrzeszczał jej mózg.

– Zadzwoń na 911 – nakazała sobie drżącymi wargami.

Drgnęła silnie na dźwięk zatraskiwanych drzwi; ostry ból przeszył jej biodro i ramię. W środku? Na zewnątrz? Zamaskowany mężczyzna mógł wrócić do jej domu. Być może nie był jedynym intruzem.

Musi natychmiast zadzwonić.

Przetoczyła się na plecy i od razu zakręciło jej się w głowie. Zaciśnęła powieki i czekała, aż minie atak mdłości, a równocześnie gmerała w kieszeniach w poszukiwaniu komórki. Kieszenie zostały opróżnione. Dostała gęsiej skórki na myśl, że nieznajomy jej dotykał. Przewyciężając niemiłe wrażenie, obmacała dłońmi całe ciało i posadzkę wokół siebie. Oprócz rany na głowie nie odniosła chyba innych obrażeń. Znalazła rękawiczkę i pudełko miętusów, lecz telefonu nie było.

Zaciśnęła zęby i ignorując ukłucia bólu, podciąga-

nęła się do pozycji siedzącej. Dostrzegła rozrzucone przedmioty, które wypadły jej z torebki, i zmusiła się do dalszych poszukiwań komórki. O nie... Przecież trzymała ją w zębach, kiedy tajemniczy napastnik zaatakował. Zmrużyła oczy, usiłując dostrzec, czy aparat nie leży czasem pod samochodem lub za rowerem czy też szuflą do odśnieżania, które przewróciła, upadając. Jednak w garażu było zbyt ciemno na poszukiwania.

Lodowate zimno betonowej posadzki przesączyło się przez wełniany materiał jej szarych spodni, otrzeźwiając ją na tyle, by sobie uświadomiła, że pełnie w kierunku otwartych drzwi do kuchni. Drzwi wychodzące na dziedziniec od tyłu były również otwarte.

A jeśli straciła przytomność jedynie na kilka sekund? W garażu mogła panować śmiertelna cisza, lecz kto wie, co czai się wewnątrz domu? Jeszcze jeden włamywacz? A może coś gorszego?

– Zabieraj się stąd – wymamrotała do siebie, opierając się na zderzaku i z wysiłkiem stając na nogi.

Naprzód.

Potykając się o rozsypane zakupy i drobiazgi z torebki, Beth chwiejnie podeszła do ściany i wstukała kod otwierający bramę do garażu. Zgrzyt unoszącej się bramy boleśnie zranił jej uszy i przyspieszył niepewny krok. Jeśli napastnik – lub napastnicy – nadal tu byli, dosłyszają, że im ucieka.

Szybciej!

Gdy tylko wydostała się na zewnątrz, powiew wilgotnego zimowego powietrza omiół jej policzki i tułów, przywracając zdolność klarownego rozumowania. Musiała się znaleźć w bezpiecznym miejscu.

Natychmiast!

Obróciła się ku jednemu oświetlonemu oknu na ulicy, które wołało do niej niczym latarnia morska. Zebrawszy pod szyją rozpiętą bluzkę i żakiet, weszła w śnieg po kolana i ruszyła na przełaj do domu sąsiada. Raz się potknęła. Jednak lodowata wilgoć, która ściekała jej w dekolt aż do pasa, odpędziła resztki mdłości, zostawiając miejsce dla obezwładniającego strachu.

Nie była bezpieczna.

Musiała natychmiast znaleźć schronienie.

Ostatnie metry przebiegła chwiejnym truchtem i wspięła się na trzeszczące deski ganku.

– Halo? – Zastukała głośno w drewniane drzwi.
– Ha...

Odpowiedziało jej basowe szczekanie, a potem łoskot, jakby koń walił kopytami po drugiej stronie drzwi.

Beth przycisnęła dłoń do rozszalałego serca.

– O Boże.

Warkot i groźne szczekanie zamkniętego w domu psa kazały jej się nieco odsunąć. Drzwi się zatrzęsły, jakby bestia rzuciła się na nie całym ciałem. Beth cofała się, póki nie dotknęła ramieniem jednej z dREW-

nianych kolumn. Wydobywające się z jej ust obłoczki pary utrudniały jej widzenie.

Co robić? Dokąd pójść?

Zerknęła na otwarty garaż i szybko rozważyła możliwe opcje. Co napawa ją większym strachem? Napastnik, który wtargnął do jej domu, być może nie sam, i czeka, by jeszcze bardziej ją skrzywdzić? Czy może bestia z piekła rodem, warcząca i rzucająca się po drugiej stronie drzwi? Jakim cudem nie zauważyła psa, i to stróżującego, prawdziwego olbrzyma, który wprowadził się do tego domu?

Przytulona do kolumny Elizabeth spojrzała za siebie. Mogłaby obudzić Hankę, lecz bez aparatu słuchowego starzec usłyszy dzwonek po godzinie, co z pewnością zaalarmuje napastnika, a wówczas... Wzdrygnęła się na samą myśl.

– Beth, do cholery, weź się w garść – nakazała sobie, niezgrabnie zapinając guziki bluzki zdrętwiałymi od chłodu palcami.

Trzask drzwiczek auta przykuł jej uwagę. Serce zatrzepotało jej w piersi, gdy usłyszała warkot silnika. Przywarła do kolumny, usiłując przebić wzrokiem ciemności. Nocne powietrze rozdarł pisk opon ślizgających się na oblodzonej nawierzchni. Była pewna jedynie tego, że to samochód, czarny i niemożliwy do zidentyfikowania jak zamaskowany mężczyzna, który ją napadł. Pojazd skręcił gwałtownie i znikł za rogiem.

Nie było w tym nic podejrzanego. Albo wprost przeciwnie... Powinna teraz wrócić do domu...